

HUBERT OWCZAREK

I.2 Z PAMIĘCI

(Rozpocząłem pisać przed rokiem 2000)

Wierzę, że należy opowiadać, aby nie każda pamięć została zatarta przez czas.

Często jednak nie ma czasu na słuchanie i przez to nie tylko słowa ulatują, ale także odlatują opisy faktów, nieraz ważnych dla przyszłości. Wiele spraw, myślę że ważnych, dotyczących naszej rodziny, żyje już tylko w mojej pamięci, jeżeli ja ich nie opowiem, odejdą razem ze mną. Może więc posłuchaj Ty, mój Synu, a może nawet Ty mój Wnuku, który dziś dopiero czekasz na swoją kolej na życie.

Nasza historia jest od początku o tyle szczegółowa, że w dwóch pokoleniach, mojego Ojca i moim, dzieje się na przestrzeni trzech wieków. Niesamowite, ale jednak prawda. Mój ojciec urodził się jeszcze w XIX wieku, w jego ostatnim roku czyli w roku 1900. Ja przyszedłem na świat niewiele przed połową wieku XX, w roku 1941 i jeszcze żyć będę pewną ilość lat w wieku XXI. Ojciec z powodu urodzenia się w roku 1900 zdążył jeszcze zostać żołnierzem pierwszej wojny światowej. Kiedy w czerwcu 1918 roku osiągnął pełnoletniość, został wcielony do 100. rezerwowego saskiego pułku landwehry w Poznaniu, jako rekrut. Po dalszym szkoleniu, już jako szeregowiec 1. Garde Regiment des Kaisers Wilhelm II., trafił na front zachodni. Na tej wojnie był także jego brat Franciszek, który wrócił do domu jako inwalida. Ojcu tam udało się lepiej, miał więcej szczęścia, ale że nic nie jest za darmo, więc po powrocie, już jako powstaniec wielkopolski, trafił najpierw do Straży Obywatelskiej, potem z kolejnego, swojego drugiego poboru, do Armii Wielkopolskiej. W 1920 roku z koszar w Biedrusku, już jako podoficer, szef kompanii, poszedł na front bolszewicki. W ten sposób przed skończeniem dwudziestego pierwszego roku życia był już weteranem dwóch bardzowielkich i ważnych wojen oraz powstania wielkopolskiego, a czekała Go

jeszcze II. wojna światowa. Zmarł w grudniu roku 1983, zaraz po Świętach Bożego Narodzenia.

Nieraz myślę o tym, że brakuje mi naszego pożegnania. Żyliśmy daleko od siebie, kochaliśmy się jako ojciec i syn, Ojciec był dumny ze mnie, bo osiągnąłem wiele więcej niż On zdołał, ja w pewnym momencie zacząłem zdawać sobie sprawę, że byliśmy za daleko od siebie. Napisaliśmy do siebie bardzo wiele listów, wysyłanych regularnie, z zasady co miesiąc. Trwało to znacznie ponad dwadzieścia lat, czyli większość czasu mojej służby wojskowej. Potem pisałem już rzadziej, bo przyszedł czas łączności telefonicznej, jednak z pisania nie zrezygnowałem prawie do ostatnich dni życia Ojca. Pisałem, bo chciałem aby Ojciec wiedział, jak mi idzie, aby był spokojny, że wszystko jest u mnie w porządku.

Raz jeszcze napiszę, że długo nie miałem świadomości o tym, po prostu tego nie zauważałem, że rocznik 1900, to ludzie jeszcze poprzedniego, XIX wieku. Teraz, gdy jesteśmy już w wieku dwudziestym pierwszym, ma to całkiem inny wymiar. Ojciec urodził się w czerwcu, więc po ukończeniu osiemnastu lat, jeszcze w czasie trwania I. wojny światowej, znalazł się w pruskim wojsku. Przeszkolony przed przysięgą w Poznaniu, zdążył przez berlińskie koszary, jeszcze na front zachodni do Belgii. Po powrocie, jak wielu, czy prawie wszyscy wielkopolscy żołnierze, trafił do Powstania Wielkopolskiego. Jak mi opowiadał, był w Straży Obywatelskiej w Ostrowie Wielkopolskim, gdzie najczęściej obstawiając perony kolejowe podczas przejazdu niemieckich eszelonów z frontu wschodniego, zachęcali wracających z frontu wschodniego żołnierzy niemieckich, aby wracali do domu po wojnie a nie narażali życia, walcząc przeciw powstańcom. Pamiętam też, jak opowiadał mi o tym, że bezpośrednio po powrocie z frontu do Poznania, pojechał specjalnie do Berlina aby, jak mówił, dać po mordzie jednemu feldfeblowi, który prześladował jego i innych rekrutów z Wielkopolski. Feldfebla jednak, chyba na swoje szczęście, nie znalazł, co w warunkach rewolucyjnego bałaganu w Berlinie, a właściwie w całych

Niemczech, nie było dziwne. Wrócił więc do Poznania, a potem poszedł do domu, skąd trafił do wymienionej wcześniej Straży Obywatelskiej.

Z hasłem „feldfebel” związana jest też anegdota opowiadana przez Ojca, którą nieraz przytaczam na różnych polsko - niemieckich spotkaniach:

Podczas szkolenia rekruckiego młodzi żołnierze z Wielkopolski byli przedmiotem drwin i obelg ze strony niemieckich żołnierzy, którzy czuli się lepsi od chłopskich synów z Wielkopolski. Wśród epitetów pod ich adresem często używany był „dumm”. Otóż pewnego razu jeden z feldfebli zwołał tych żołnierzy - Niemców i zadał im pytanie: Czy wy rozumiecie o czym ci „dumme Polacken” rozmawiają? A drugim pytaniem było: - Czy oni, ci „dumme Polacken” wiedzą o czym wy gadacie między sobą? Potem nastąpiło pouczenie: - No więc, kto tu jest mądrzejszy? Anegdota ta nie pasuje do utrwalonej w polskim stereotypie, przysłowiowej tępoty pruskiego feldfebela, więc kiedy ją opowiadam, zawsze jest z mieszanymi uczuciami odbierana zarówno przez Polaków jak i przez Niemców, nie wiem czemu.

Wiem, że na tej wojnie był również starszy brat Ojca, o imieniu Franek, który (dla mnie nieznany) wrócił inwalidą, z postrzelanymi nogami. Tenże brat został na gospodarce w Bieganinie, jako taki, któremu w biedzie powojennej byłoby najtrudniej poza domem. Ojciec zaś, po wcieleniu do powstańczej armii, został w niej i w krótkim czasie poszedł na swoją drugą wojnę, nie licząc Powstania. W 1920 roku był już podoficerem, instruktorem walki wręcz – na bagnety, a na front poszedł z koszar w Biedrusku kiedy, jak to mówił, poznańskie pułki poszły ratować front na Ukrainie. Dla Niego ta wojna to był jeden wielki marsz, przerywany kopaniem pozycji obronnych, głównie dla obrony przed kozacką konnicą. Cofał się spod Kijowa, aby spod Warszawy, a dokładnie spod Nowego Dworu Mazowieckiego, po przespaniu w forcie jednej nocy, znów ruszyć na wschód. Ten swój życiowy pochód wojenny zakończył w Wilnie.

Ciekawostką dla mnie było to, że opowiadał dość często o najlepszym swoim druhu w tamtej wojnie, który był Żydem. Dla nas w tamtym czasie Żyd musiał być tchórzem

i kanciarzem. Ojciec natomiast mówił o nim bardzo dobrze, jako o tym, który był i uczciwy i rozważny i odważny. Dodać jednak muszę, że Ojciec Żydów nie lubił, za ich niechęć do Polaków, której jak mówił, sam doświadczył.

Po powrocie z wojny bolszewickiej jakiś czas jednostka wojskowa w której służył Ojciec stacjonowała w Rembertowie. W czasie gdy ja studiowałem w Akademii Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, w tamtych koszarach stacjonowała jednostka Armii Radzieckiej. Z tamtych opowieści Ojca pamiętam głównie, że żołnierze za grzechy wojenne otrzymywali od spowiadających ich kapelanów bardzo ciężkie pokuty, wśród których leżenie krzyżem w kościele, o chlebie i wodzie, nawet tydzień czasu nie było rzadkością. Byli też tacy, którzy rozgrzeszenia nie dostawali – co takiego robili, nie dowiedziałem się, choć Ojciec wiedział, był tym żołnierzom towarzyszem broni, jako szef kompanii. Wtedy też był czas nienawiści i jej owoców na polu współżycia polsko – ukraińskiego. Nigdy o tamtych sprawach nie udało mi się więcej dowiedzieć, niż to, że między Ukraińcami a Polakami dobrze nie było.

O tym, jakie było to wojsko, niech świadczy incydent z butami w rembertowskim kościele. Kapelan podczas kazania zagrzmiął w pewnym momencie na słuchających go wojaków: „Rozpusta i łajdactwo wyгнаły was spod Kijowa!”. Na to któryś z wiarusów krzyknął: „Butem go!” I w kierunku ambony zaczęły lecieć buty w takiej ilości i z taką siłą, że ksiądz po prostu stamtąd uciekł. Ojciec był bardzo oszczędny w słowach i nie przesadzał w opisach, wiem to na pewno. Kiedy sam byłem w Rembertowie w Akademii Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, nieraz myślałem, aby Ojca do Rembertowa przywieźć. Jednak z wielu powodów do tego nie doszło, bardzo tego żałuję.

Po wojnie bolszewickiej Ojciec jakiś czas służył w granicznym batalionie w Łunińcu, na Polesiu (jak mówił - w III. batalionie, nie wiem jakiej jednostki, prawdopodobnie był to batalion celny). Wiem tylko, że był to dość długi, nieudany okres życia Ojca. Zdemobilizował się, jak sam mówił, na początku zaczynającego się kryzysu -wtedy, gdy do armii wracali tacy, którzy nie mogli sobie znaleźć miejsca w

cywilu. Ojciec jednak poszedł na to niepewne, bo jak mówił, miał już dość tych „pińskich błot i żydowskich k(...)w”. Wrócił więc na krótko do rodzinnej wsi a potem spróbował szczęścia w Poznaniu. A że tam pracy ani chleba nie znalazł, trafił na Śląsk, do kopalni. Nieraz wspominał, że był to taki czas, kiedy poznańscy rzemieślnicy nie chcieli nawet przyjmować do nauki zawodu, aby nie przygotowywać sobie konkurencji na kurczącym się rynku usług. Jednym z powodów tej sytuacji były według Ojca wyjazdy Niemców z Poznania i Wielkopolski już po Powstaniu Wielkopolskim oraz Żydów nawet jeszcze przed końcem pierwszej wojny światowej. Z opowieści o łunińskim epizodzie pamiętam jeszcze jego wspomnienia o odbieraniu na granicy wypuszczonych przez bolszewików polskich żołnierzy, chyba internowanych i jeńców. Jak mówił, przez ich punkt odbioru przeszła najpierw czeska brygada, która wracając do domu mocno swoimi działaniami zachwiała rewolucją, a potem wracali Polacy. Otóż bolszewicy wypuścili Czechów ze wszystkim, co mieli i co nagrabili w Rosji. Polskich żołnierzy rozebrali natomiast ze wszystkiego, wręcz wypuścili ich tylko w gaciach i koszulach. Myślę, że to tak było, Ojciec o tym opowiadał mi kilkakrotnie, zawsze mocno wzburzony.

Myślę, że to miało, niezależnie od Jego udziału w wojnie bolszewickiej, duży wpływ na jego zdecydowanie negatywny stosunek do komunistów.

Z opowieści o wojnie bolszewickiej pamiętam także jego gorzkie wspomnienia o tym, jak mało, z tego co mu się należało, otrzymywał żołnierz i jak mało odpowiedzialnie na tej wojnie spisywała się część kadry dowódczej. Jak mówił, nie były rzadkie przypadki odmawiania wykonywania złych rozkazów, nie były też rzadkie wypadki nawet zabójstw oficerów w sytuacjach, kiedy narażali oni życie żołnierzy bez sensu. W poznańskich pułkach, które poszły ratować front pod Kijów, byli bardzo dobrzy żołnierze, wyszkoleni w pruskim wojsku, przeciwiczeni życiowo na froncie, głównie zachodnim, którzy potrafili się w opresjach ratować. Ojciec był szefem kompanii, pamiętam to dlatego, że wspominał o bardzo groźnym starciu z jednym z oficerów, który zabrał suchary żołnierskie dla swojego konia. Starcie było tak ostre, że

kiedy niedługo potem ten oficer zginął podczas wychodzenia do ataku z okopu, Ojciec był posądzony o jego zastrzelenie. Wierzę, że mówiąc mi o tym miał czyste sumienie, tak bardzo nie mógł nienawidzić, żeby posunąć się do tego kroku. Sam o tym mówił, bolało Go to posądzenie. Może ta sprawa powodowała, że o tej wojnie mówił jeszcze mniej chętnie niż o pozostałych, w których brał udział.

O swoich krewnych i przodkach Ojciec opowiadał niewiele. Ciekawą sprawą, ustaloną przeze mnie na podstawie studiowania ksiąg parafii Raszków jest to, że ja i moi przodkowie w linii męskiej rodziłem się zdecydowanie późno. Ja urodziłem się w roku 1941, czyli wtedy, gdy Ojciec miał już czterdzieści jeden lat. Dziadek Kasper urodził się w roku 1861, pradziadek Franciszek w roku 1821. Mój młodszy syn Łukasz urodził się w roku 1986, czyli wtedy, gdy ja dobiegałem już czterdziestu pięciu lat. Nasze pokolenia są więc zdecydowanie bardziej długowieczne od statystycznie przeciętnych. Z tego też wynikać mogą nasze dość szczególne relacje międzypokoleniowe. Wiem, że mój dziadek Kasper zmarł w 1912 roku, bo przeziębił się w drodze do kościoła w Święta Wielkanocne. Kościół, do którego poszedł był zamknięty, więc poszedł do następnego. Został przemoczony przez deszcz, przemarznął i w wieku 51 lat zmarł na zapalenie płuc. O babce Józefie, z domu Staśkiewicz wiem tylko tyle, że zmarła w roku 1919 lub 1920, doczekawszy powrotu synów z pierwszej wojny światowej. Wiem też, że w domu dziadka żyła na dożywocie babka Ojca, Karlińska, z którą wiąże się następująca historia opowiadana przez Ojca: „Jednego roku jego ojciec, czyli dziadek Kasper zorientował się, że krowa babki jest chora. Chciał więc ją czym prędzej sprzedać na rzeź, zanim padnie. Babka jednak uparła się, że nie i w kilka dni później stało się to, co dziadek przewidywał. Potem dziadek musiał kupić następną krowę, bo babka miała ją w zachówku. Na wielkopolskiej wsi, „u Prusaków”, prawo dożywocia było przestrzegane.

O mojej babce Józefie Ojciec opowiadał również, że kolonia Rozdrażewko, skąd pochodziła, zamieszkała była przez wychodźców z Litwy, którzy byli drobną szlachtą. W domu rodzinnym mojej babki, na strychu był podobno pełny ułański rząd i wszyscy

chłopcy musieli ćwiczyć się w jeździe konnej i robieniu szabłą. Ojciec mówił mi, że ten rząd ułański i ćwiczenia swoich starszych kuzynów widział. Jak sprawdziłem w księgach parafii Rozdrażew, rodzina Staśkiewiczów siedziała w Rozdrażewku już w wieku VIII, przed rozbiorami Polski. Do końca nie udało mi się wyjaśnić, kiedy ci Staśkiewicze z Litwy, a właściwie z Białorusi, bo spod Lidy, do Wielkopolski trafili. Jestem jednak pod dużym wrażeniem siły tradycyjnego ustnego przekazu. Będąc nauczycielem w szkole na Podkomorskiej, miałem jeden raz ucznia o nazwisku Staśkiewicz i tylko ten jeden raz się wtedy z tym nazwiskiem w Poznaniu zetknąłem. Skojarzenie z tym przypadkiem, ale w odniesieniu do mojego nazwiska jest trochę bogatsze, ale o tym napiszę później.

Przed wielu laty opowiadał urodzony w roku 1900 mój Ojciec, że Dziadek Kasper, wiejski siłacz, popisywał się tym, że już będąc „wzięty” potrafił uchwycić karczemną ławę w zęby i stanąć z nią wyprostowany w tej karczemnej izbie, w Bieganinie.

Jest jeszcze jedna historia warta opowiedzenia. Na pogrzebie Ojca poznałem kuzyna Janka z Ostrowa, który przyjechał do Zebrzydowic z drugim, znanym mi kuzynem, Kazikiem. Janek od lat już nie żyje, ale raz „wrócił” niespodziewanie. Pewnego razu jechaliśmy z Wandą – moją Żoną pociągiem, na trasie Kluczbork - Kępno. W pewnej chwili do przedziału wszedł człowiek w starszym wieku i usiadł. Spojrzałem na niego i powiedziałem do Wandy: „Ten gość nazywa się Owczarek.” Powiedziałem to, bo ten człowiek był uderzająco wprost podobny do Janka, którego jednak Wanda nie знаła. Przyszedł konduktor i sprawdzając bilety powiedział do tego nowego pasażera, że jego bilet jest nieważny i że będzie musiał zapłacić za to. Ten człowiek miał tzw. bilet emerycki, taki ówczesny cud natury, polegający na tym, że wtedy emeryci mieli prawo do dwóch ulgowych przejazdów w roku na podstawie takiego imiennego karteluska - legitymacji. Wykorzystałem okazję i zwróciłem się do konduktora o okazanie mi tej „legitymacji”. Okazało się, że on rzeczywiście nazywał się Owczarek.

Mieszkał w Lututowie, czyli nie tak bardzo daleko od Ostrowa. Zaczęliśmy rozmawiać, ale okazało się, że mimo tego podobieństwa do Janka i naszej dość dobrej orientacji w historiach naszych rodzin, nie doszukaliśmy się żadnych wspólnych krewnych.

Jeszcze jedno wspomnienie, także w związku z kuzynem Jankiem: Jednego roku byłem, jako przedstawiciel Marszałka Wielkopolski, w Gostyniu na uroczystości patriotycznej, gdzie zabierałem okolicznościowo głos. Po moim wystąpieniu podeszła do mnie kobieta w średnim wieku, wymieniając swoje nazwisko: Owczarek. Powiedziała, że mieszka w Jarocinie i czy przypadkiem nie jesteśmy rodziną. Na moje zapytanie odpowiedziała mi również, że jej mąż ma na imię Andrzej. Ja wiedziałem, że Andrzej Owczarek, syn Janka mieszka w Jarocinie, odpowiedziałem więc, że chyba jest tak, jak mówi. Pojechaliśmy potem do Jarocina, ale ten Andrzej, to nie był ten Owczarek. Był on natomiast nauczycielem w podjarocińskiej Potarzycy, gdzie jako fizyk zbudował chyba jedyne w Europie wiejskie, szkolne obserwatorium astronomiczne i planetarium. Potem okazało się, że owa Elżbieta Owczarek miała w Poznaniu ojca, który był też tam w Gostyniu i ona szukała kogoś, kto pomógłby jemu w powrocie do domu. Ci Owczarkowie mają syna Piotra, który wtedy był lokalnym dziennikarzem w Poznaniu. Proponowałem jemu odwiedzenie mnie, ale jakoś nic nie wyszło z tego.

Oprócz przekazu o szlacheckich korzeniach rodziny Staśkiewiczów pamięta jeszcze opowiadanie Ojca o młodym żołnierzu, przygarniętym przez bieganińskiego owczarza:

W grupie „szwedzkich” żołnierzy, którzy przyszli w dawnych, wojennych czasach do Bieganina był młody chłopak, którego stan zdrowia był tak zły, że został on pozostawiony w tej wsi, a żołnierze poszli dalej. Miejscowy owczarz przyjął nieszczęśnika pod swój dach, chyba tylko po to, aby mógł on w ludzkich warunkach dokonać żywota. Jednak ten żołnierz wyzdrowiał i pozostał już u tego owczarza, stając się jego pomocnikiem. Z czasem otrzymał przezwisko „owczarek”, które stało się jego nazwiskiem. Kiedy przyszedł czas nadawania nazwisk ludziom pochodzenia

chłopskiego, ten młody został nazwany Owczarkiem, jako pomocnik owczarza. W osiemnastym wieku w parafii Raszków, do której należał Bieganin, występowały nazwiska Owczarz i Owczarek, zresztą obok nazwisk Owczarczak i Owczarzak. Pozostaje tylko pytanie, jak wiele z przedstawionych wyżej obu tych przekazów rodzinnych można zweryfikować.

Jak już zaznaczyłem, po wojnie bolszewickiej i dalszej służbie wojskowej na Polesiu, Ojciec zwolnił się z tej służby i wrócił do Poznania, ale tam pracy nie znalazł. Poszedł więc na Śląsk, do kopalni, jednak praca tam, pod ziemią, zdecydowanie nie służyła Jego zdrowiu. Został na Górnym Śląsku, zgłosił się tam do służby granicznej i rozpoczął tę służbę w Boruszowcu, nazywanym teraz Boruszowicami, w powiecie Tarnowskie Góry. W niedługim czasie potem przeniósł się do służby celnej, w której to służbie już pozostał aż do przejścia na emeryturę, nie licząc ponownego, przymusowego powrotu do kopalni na Zaolziu, w czasie drugiej wojny światowej.

Jak opowiadała mi młodsza siostra Mamy, moja Matka Chrzestna, ciotka Milka Piecuchowa, Ojciec w czasie swojej służby w Boruszowcu ciężko zachorował, chyba na zapalenie płuc. W Boruszowcu strażnicy graniczni i urzędnicy celni mieszkali w budynku, w takim jakby hotelu-internacie, nazywanym „kasynem”. Kiedy Ojciec, tak w coraz gorszym stanie, leżał tam na swoim łóżku, doczekał ludzkiego współczucia i chęci pomocy od właściwie całkiem obcego człowieka. Ślązak, Karol Kurek, urzędnik w tamtejszej papierni, uruchomionej w zniszczonej wybuchem prochowni, postanowił zabrać Go do swojego domu, aby po prostu nie zmarł w samotności. Ojcu ta zmiana miejsca wyszła na zdrowie, mało tego, w niedługim czasie potem ożenił się z córką Karola, Bertą. Niewiele później został przeniesiony na graniczny posterunek i urząd celny w sąsiedniej wiosce Brusiek, gdzie już otrzymał mieszkanie. Tam na świat przyszedł najpierw ich pierworodny syn, który niestety nie przeżył, a potem moja starsza siostra Gretka, czyli Małgorzata.

Zdrobnienie imienia „Gretka” u mojej siostry wzięło się stąd, że dużą część swojego dzieciństwa spędzała u dziadków Kurków na Boruszowcu, a tam wszyscy

mieli „niemieckie” imiona i niemieckie zdrobnienia tych imion: starsza siostra Mamy – Luca, bracia – Franz, Heinrich, Hubert, Jorg, Paul, Teodor i Wincent, ich żony – Roza, Ana i Hedwig, moje kuzynki – dwie Oti, Klara i Berta, moi kuzynowie – Gerhard i Zygfryd. Siostrze mojej to zdrobnienie „Gretka” pozostało do końca życia, nawet z tym za bardzo nie walczyła. Zaś Kurek jest nazwiskiem morawskim, czyli czeskim. Kurkowie byli więc przybyszami, którzy wrastając w Śląsk przyjęli opcję niemiecką i tak już pozostało do samego końca drugiej wojny światowej.

Na drugą wojnę światową z naszej rodziny poszło czterech mężczyzn – mój Ojciec w mundurze polskiego żołnierza i jego trzech szwagrów, w mundurach Wehrmachtu – kto więc miał tę wojnę wygrać? Franz zginął na samym początku wojny, tam na Górnym Śląsku, dokąd uciekł na „niemiecką stronę” i stamtąd „wrócił” jako dywersant na „polską stronę”, bezpośrednio po wybuchu wojny, ze skutkiem dla siebie śmiertelnym. Paul i Wincent, jako żołnierze Wehrmachtu, wojnę przeżyli, wrócili na Górny Śląsk, po wojnie zostali w Polsce i z pewnymi trudnościami wrócili do społeczeństwa polskiego. Czwarty z braci Kurków – Jorg, w czasie wojny kolejarz, wolał na wszelki przypadek się wynieść i do końca życia mieszkał w Erfurcie z całą swoją rodziną. Siódmy z braci Kurków – Teodor – zmarł w młodym wieku, podobno skutkiem jakiegoś zatrucia się w fabryce, gdzie pracował jeszcze przed wojną. Jak na ironię losu piąty z nich – Hubert, który był zakonnikiem w klasztorze w Miejskiej Górze koło Rawicza, całą prawie wojnę przesiedział w hitlerowskich obozach koncentracyjnych za odprawianie mszy świętych na podrawickich wsiach, wbrew okupacyjnemu zakazowi. Zaczął od Dachau a skończył w Mauthausen-Gusen, gdzie dopiero w samym końcu wojny wyzwolili go Alianci. I nic nie pomogło, nawet to, że w jego sprawie dziadek Karol pisał do samego Hitlera, jako ojciec czterech synów, służących Trzeciej Rzeszy. Podobno w odpowiedzi z kancelarii III Rzeszy dowiedział się, „że ten jego syn źle wybrał”.

Kiedy Ojciec wrócił z wojny w roku 1940, pojechał do Boruszowca odebrać Mamę i Gretkę od Kurków, aby wrócić na Szumbark. Oczywiście doszło do spotkania

rodzinnego, na którym rozmawiali o wojnie. Ojciec mimo wszystko nie stracił wiary po przegranej kampanii wrześniowej i w pewnym momencie „wypalił”: „a Hitler wojnę przegra”. Na to kuzynka Mamy z Nowej Wsi powiedziała do Ojca: „Jozef, ty mosz szczyńście, że ty żeś je chłop od Berty. Bo jakby to był kiery inkszy, to jo by jutro poszła na gestapo i byłby ś'nim kóniec.” I niech kto powie, że u Ślżzaków rodzina nie była na pierwszym miejscu!

Z tą ucieczką Jorga ze Ślżska wiąże się następująca historia: pod koniec wojny Jorg zapytał mojego Ojca: „Jozef, jak mi radzisz, Ruscy przijdą i co jo móm robić?” Mój Ojciec powiedział: „Jorg, Ty uciekej na zachód, ale pamiyntej, uciekej aż za Elbę, za Elbę!” Jorg z całą rodziną uciekł za Elbę czyli za łabę, aż do Erfurtu w Turynгии, dokąd doszli w końcu wojny Amerykanie. Było więc jak radził mój Ojciec. Jednak potem Amerykanie się niestety wycofali, do Turynгии weszli Ruscy i tak już zostało. Tamci Kurkowie też tam zostali. Nie mieliśmy żadnego kontaktu, wiem jednak, że syn wujka Jorga był zawodowym wojskowym Narodowej Armii Ludowej, czyli służył w armii NRD. Podobno ich córka, jako stomatolog, pracowała w Erfurcie. Dodać mogę tylko tyle, że rodzina wujka Jorga starała się wrosnąć w to nowe miejsce i swoim dzieciom nadali czysto niemieckie imiona: Anglert oraz Notburga. Nie weryfikowałem tej informacji, mam ją od mojej siostry Eli.

Młodsza siostra Mamy, moja matka chrzestna Milka, wyszła za mąż za Melchiora Piecucha z nieodległej Mikołuszki, małej wioski w środku lasu, pomiędzy Boruszowcem i Kaletami. W tamtej rodzinie było trzech synów i trzy córki. W czasie drugiej wojny światowej wszyscy trzej synowie nosili mundury niemieckie – Melchior i jego brat Paul, byli żołnierzami Wehrmachtu, Johann był policjantem w Krakau, czyli w Krakowie. Melchior w roku 1939, będąc w wieku poborowym, otrzymał wezwanie do stawienia się do Wojska Polskiego w czasie mobilizacji. Jednak zamiast tego przekroczył pobliską granicę polsko - niemiecką i uciekł na Dolny Ślżsk, gdzie przez pewien czas pracował w gospodarstwie rolnym. Potem został zmobilizowany i wcielony do Wehrmachtu, z którym trafił na front wschodni. W samym końcu wojny

zdezerterował z Wehrmachtu i udało mu się wrócić do domu. Johann także przeżył zakończeni wojny. Obaj jednak zostali po wojnie wywiezieni na Wschód, całe szczęście, że gdzieś na Kaukaz a nie na Syberię. A że obaj byli zdrowi i silni a do tego mieli trochę szczęścia, wrócili stamtąd po kilku latach. Melchior został na gospodarstwie a Johann ożenił się w sąsiednich Kaletach i jeździł jako kierowca ciężarowego samochodu.

Wiadomo mi, że Paul krótko przed śmiercią odwiedził rodzinę, bo jego jednostka wojskowa była przerzucana z frontu wschodniego dla wzmocnienia niemieckiej operacji w Ardenach. Transport zatrzymał się na stacji kolejowej w niedalekim Koszęcinie i on dostał zgodę na odwiedzenie rodziny. Dowiedział się też, że gdyby przypadkiem nie wrócił do transportu, jego rodzina trafi pod sąd wojenny i zostanie rozstrzelana. Więc wrócił i krótko potem, w samym końcu wojny poległ nad Renem, gdzie spoczywa na niemieckim cmentarzu wojskowym niedaleko Bonn.

Już wiele lat po wojnie Melchior popadł w konflikt z prawem i trafił do więzienia, właściwie za dobre serce i niewyparzony język. Pozwalał jednemu z robotników leśnych spać w stodole swojego gospodarstwa. Jednak kiedy pewnego razu zobaczył, że ten robotnik tam, na sianie pali papierosy, wściekł się, przepędził go z tej stodoły, a wymyślając jemu krzyczał: „Ty pieróński Poloku”. Za taką obrazę narodu polskiego musiał potem odbyć karę więzienia, wymierzoną przez sąd, co miało miejsce jeszcze znacznie przed rokiem 1989, czyli przed czasem przełomu i upadku tak zwanej „komuny” w naszym kraju. Niezależnie od tego, Melchior był lubianym i szanowanym człowiekiem w swoim otoczeniu. Kiedy zmarł w swoim domu na Mikołuszcze, odprowadzony został na cmentarz w Kaletach przez wielu ludzi a od granicy miasteczka, czyli od Jędryska, konduktowi towarzyszyła orkiestra strażacka. Byłem na tym pogrzebie, podobnie jak na pogrzebie ciotki Milki, mojej Matki Chrzestnej a jego żony.

Domem Piecuchów do końca swego życia rządziła „Oma Piecuszka”, wdowa po gospodarzu. Wstawiała skoro świt, pracowała i zarządzała całością. Była małomówna,

ale czasem opowiadała trochę o ich życiu. Z tamtych opowiadań zapamiętałem historię z samego końca wojny, z czasu, gdy zimowa ofensywa radziecka w styczniu 1945 roku, tam na południu doszła do Tarnowskich Gór: „Jednego rano, jak już były zaparzone w wielkim garze ziemniaki dla świń i miały być zaniesione do chlewa, zobaczyłam z podwórza, że z lasu wychodzą jacyś ludzie. Jak podeszli bliżej poznałam, że to są niemieccy żołnierze. Krzyknęłam, że ‘To są nasi’ i pobiegłam otworzyć im furtkę na nasze podwórze. Żołnierze weszli do domu a my zobaczyliśmy, że oni są w bardzo złym stanie, zmęczeni, głodni i wyziębnęci. Szybko obrałiśmy z łupin te ziemniaki dla świń, roztopiliśmy masła i dałyśmy im do jedzenia te ziemniaki z tym roztopionym masłem. Kiedy oni się trochę oporządzili i najedli, poszli dalej, bo mówili, że ‘Rusy ich gonią’. Poszli drogą ku Pniowcowi, ale przed samym lasem zostali dopędzeni przez Ruskich i wszyscy zostali wystrzelani. Potem mieszkańcy Mikołuszki musieli ich pochować, a właściwie zakopać tam pod lasem, gdzie dosięgła ich śmierć.”

Syn Melchiora, mój kuzyn Bernard, opowiadał tę historię nieco inaczej i według niego zginęło tylko trzech żołnierzy z tej grupy niemieckiej. Zgadza się jednak miejsce pochówku tam pod lasem. Pytałem wiele lat temu o to, czy te mogiły zostały ekshumowane. Według moich rozmówców, ci żołnierze leżą tam do dzisiaj, te groby są podobno oznaczone krzyżami i zdarza się, że są tam zapalane świece.

Hubert Owczarek - Wielkopolek od pokoleń, urodzony w roku 1941 w Szumbarku na Zaolziu, (obecnie Havířov VIII w Republice Czeskiej) syn powstańca Wielkopolskiego. Ukończył Technikum Mechaniczno – Elektryczne w Cieszynie, następnie Techniczna Oficerska Szkoła Wojsk Lotniczych w Oleśnicy Śląskiej, Służył w lotnictwie, kończył Akademię Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w Warszawie – Rembertowie, major dyplomowany Wojska Polskiego w stanie spoczynku. Studiował na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, pedagogiczne studia podyplomowe w 1987r.

Więcej na stronie Poznańskiego Archiwum Historii Mówionej na stronie:

<https://historiamowiona.poznan.pl/relacje/hubert-owczarek/>